

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 19 KWIETNIA 1930 ROKU

NR. 16

ANDRZEJ STRUG

10)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Wyobrażnia porywa i niesie panią jak wicher i nigdy nie wie pani, dokąd cię ona poniesie... Kochasz jątrzenie twego własnego niepokoju, upajasz się niewiadomem, które stać się może z tobą każdej chwili. Przechylasz się nad przepaścią, lubujesz się swoim śmiertelnym dreszczem... Ubóstwiasz życie, upajasz się ciekawością dla jego spraw otchłannych i powikłanych, ale nie cenisz bynajmniej własnego istnienia i to jest w pani napozór paradoxem. Tylko napozór, gdyż zdoła pani obiektyzować i samą siebie i patrzeć na siebie zdaleka, jak na obcą. Wówczas pani nie kocha siebie tak samo, jak nie przywiązuje się pani do nikogo. Może z ciekawości pani pchnąć siebie na wyraźną zgubę — wydaje mi się nawet, że pani może skończyć samobójstwem.

— Przenigdy!

— Proszę mnie zrozumieć. Nie zastrzeli się pani, ani się otruje — ale dopuści pani świadomie, żeby jakieś okoliczności tak się złożyły, że w ich wyniku będzie pani zmuszona oddać życie. I nie uczyni pani nic, żeby te okoliczności zmienić, choć to będzie w pani władzy — czy to nie samobójstwo?

Porucznik urwał nagle, uląkł się. Eva patrzała na niego z wyrazem takiego cierpienia, jakgdyby wyrządził jej wielką krzywdę. Śnać mówiąc w zapamiętaniu, dotknął w niewiedzy jakichś jej tajemnych spraw, coś jej niechcący przypomniał... Podniosła rękę do czoła, niespodzianym szybkim ruchem zasłoniła sobie oczy, zacisnęła je kurczowo i po sekundzie roześmiała się swobodnie.

— To nic, proszę mówić dalej, zajrzało mi w oczy jakieś widmo... Wie pan, nic określonego, poprostu ciężkie, niewytłomaczone wrażenie, jak to bywa we śnie. Niech pan kończy, niechże pan powie nareszcie to, co pan uznaje w tej analizie za najważniejsze, a czego nie ośmiela się pan wypowiedzieć. Ja pozwałam na wszystko.

— Pani zgaduje myśli... Jednak, sądzę, że czas mi się zatrzymać, bo i tak zaszedłem za daleko. Raczej zabrnąłem, znalazłem się w ciemnym labiryncie; już nie mam poczucia prawdy, zaplątałem się w pani...

— Więc ja będę pytała.

— Zgoda.

— Kto pan jest?

— Porucznik Jacques Percin, ci devant profesor Szkoły Normalnej, obecnie inwalida, przydzielony do Sekcji badań nad moralnym stanem armji.

— Czy pan jest hypnotyzerem?

— Nigdy w życiu się tem nie zajmowałem.

— Bo wydaje mi się teraz, że wszystko, co pan o mnie naopowiadał — to prawda. Urzekł mnie pan, bo ja jestem zupełnie inna.

— Jest pani taką właśnie, jak mówiłem, a jest pani również inna. To nie przeczy jedno drugiemu. W tem pani urok i to bardzo niebezpieczny.

— Czy mnie można wierzyć?

— A czy pani wierzy w cośkolwiek na świecie?

— Jakto?

— Naprzykład — wojna. Niema człowieka po obu stronach walczących, który by z całym ślepym fanatyzmem nie pragnął zwycięstwa dla swego narodu, któryby nie nienawidził wroga. A pani? Pani jest wszystko jedno. Oczywiście jest pani po naszej stronie, ale w głębi duszy — przepraszam panią — ta wojna panią pochłania jedynie jako wspaniałe, straszliwe misterjum. Niech się narody mordują, mniejsza o to, kto zwycięży...

— Aż tak? Bardzo pan śmiały w swoich hipotezach. I cóż dalej?

— Nie pójdę dalej. Zresztą nie warto zaczynać, lada chwila nam przeszkodzą.

— Więc proszę mnie odwiedzić. Rue Pierre Charon, siedemnaście.

Eva wyjęła swój karnecik. Porucznik Percin zląkł się. — Nie, za nic nie przyjdzie. Nie chce się dręczyć, nie chce zgorzeć w palącym spojrzeniu tych oczu...

— Więc jutro — od piątej do siódmej będę wolna. Dobrze?

— Tak jest. Dziękuję pani.

— A zatem do widzenia. Nakoniec jeszcze jedno pytanie — czy mnie można pokochać?

Porucznik już powstał. Milczał przez chwilę i unikając jej spojrzenia, rzucił z bolesnem szyderstwem.

— Nie znam się na tem. Od czasu jak niemiecki „Flammenwerfer“ obdarł mi twarz ze skóry i wypalił mi oko, nigdy nie rozmawiam o miłości z żadną kobietą, tembardziej z panią. Jakżebyś śmiał? Nie chcę być śmieszny, jako domniemany aspirant — ja — une gueule cassée, maskara...

Zerwała się z krzesła tym właściwym tylko Evie Evard błyskawicznym podrzutem i stanęła w całej chwale swej urody, wyniosła, nakazująca, nieodparta pogromczyni i ciemieżycielka mężczyzn — baronowa Destalguèz z „Circe“.

— A wie pan co? Z tych wszystkich pięknych i znakomitych panów, którzy tu się kręcą... którzy mnie prześladują pochlebstwami i swemi bezwstydnymi spojrzeniami, gdzie tylko się pokażę... Cóż — powiem

— stać mnie na to... pana jednego bym ucałowała... Panu bym się gotowa oddać... Dlaczego? Nie wiem. Pan mnie opętał, pan mnie zniewala. Dosyć, panie poruczniku — do jutra.

* * *

Eva uchyliła natarczywe propozycje odwiedzenia jej, nie skusiły jej wspaniałe limuzyny, poszła samotna przez zimny wicher, przez posępna aleję, skarżącą się przejmująco w nagich gałęziach kasztanów. Pod murem cmentarza Passy okrążyła pusty plac Trocadero i zeszła w dół przez odludne, ciemne ścieżki skweru. Pamiętała, że na ten wieczór ma wyznaczoną jeszcze jedną wizytę, że jest już spóźniona. Oddalała się od swojej stacji Metro i szła bez celu, zatopiona w myślach. Jednooki psycholog szedł obok niej jak widmo i nie przestawał mówić. Wciąż jeszcze słyszała jego słowa ostrzegające, jego zapamiętałe wróżby. Czyż na ekranie tak dalece zdradza się człowiek? Czy obiektyw aparatu jest tem czarodziejskim okiem, które naskroś wszystkich sztuczności i kłamstw gry widzi prawdę utajoną na dnie duszy aktora? I jak śmie ów pan wdzierać się w jej samotność i wiedzieć o niej aż tyle? Pozwalała mu mówić i dowiedziała się, że i jej zamkniętą duszę można jednak roztworzyć i zapuścić w nią obce, szpiegowskie spojrzenie. Iluż to ludzi na świecie odgaduje ją nie gorzej, niż ten porucznik!

Weszła na most. Wionęło zimnem od czarnej wody, wicher pchał ją kędys przemocą, szarpał na niej odzież. Przystanęła, wsparła się o poręcz. Nie wiedziała, pociągnęła aż tutaj. Stała jak na wyniosłej wyspie wśród morza białej mgły; poginęły światła Paryża, zaledwie parę najbliższych latarni majaczyło w tumanie czerwonym stłumionym lśnieniem. Zapodział się gdzieś olbrzymi pałac Trocadero, nie zostało śladu z wieży Eiffla. Przywidziało jej się, że ten skrawek mostu i mroz wiejący od rzeki są ostatnią resztką ginącego świata i że tu przyjdzie jej czekać długo, długo, aż zawali się ten most razem z nią. Runie w lodowatą głębię, a nad nią i nad nicością wszystkiego rozściele się mgła, nic, tylko mgła, mgła... Poznała w tem jakiś straszny, dawny sen, który powracał czasami i dręczył ją od dzieciństwa. Była w nim jakaś niepojęta okropność i zła wróżba. W jej absurdzie tkwiła jakaś przerażająca nieomyślność.

Ogarnął ją strach. Co ją przyniosło na most? Nic tu nie miała do roboty. Takie rzeczy nie zdarzały się z nią nigdy, zawsze wiedziała, co czyni i dokąd idzie. Usiłowała przypomnieć sobie z programu dnia, czy naprawdę nie miała czegoś do załatwienia w dzielnicy za mostem?.. Nie знаła nikogo w tej stronie miasta. Ostatnie chwile niepokoju...

Roześmiała się bezmyślnie i głucho. Trzeba wracać. Zaledwie postąpiła kilka kroków, usłyszała czyjś głos. Ktoś na nią zawołał.

— Eva!...

Głos był daleki i niepewny. Ale jakby znajomy. Obejrzała się, dokoła było pusto. Nigdy nie miewała przywidzeń. Nadsluchiwała. Ale ów ktoś nie wyszedł jeszcze z mgły. Któż to mógł być? Czyżby ów porucznik, nie mogąc się doczekać jutra, ośmielił się pójść za nią? Co za zuchwalstwo!

— Eva!... Eva!...

Wołanie było zupełnie bliskie i wyraźnie szło z dołu, od wody. Przechyliła się przez balustradę i zaszła. Na czarnej rzece leżał mętny krąg światła, odbitego od latarni. W tem miejscu falował nurt, który szybko przebiegał przez rozświetlone kolisko i tonął w ciemnej otchłani. Eva zapatrzyła się w tę pla-

mę, pogrążona w tępej zadumie, i nagle poznała głos, który na nią zawołał z rzeki. To on!

— Ujrzała tuż przed oczami skrawek wycięty z gazety. Dotąd miała go przechowany w walizce, pełnej starych papierów. Rubryka — „wiadomości w trzech wierszach“.

— Wczoraj o godzinie 10 wieczór z mostu Lena rzucił się do wody Edmund Clary, lat 27, urzędnik Crédit Lyonnais. Ciało wyłowiono w Auteuil. Kostnica municypalna.

To wczoraj było przed siedmiu laty. Zapomniane i zupełnie błahe, czemuż wynurzyło się dzisiaj? Ach, rocznica... Widać odezwała się w nieświadomym wspomnieniu i tu ją przywiodła — człowiek, sam o tem nie wiedząc, nosi w sobie dziwnie precyzyjny mechanizm, rejestrujący każde głupstwo. Uśmiechnęła się do biednego Edmunda. Kochała go przez całe trzy dni, ale on, niemądry chłopak, chciał znacznie dłużej, na całe życie. Cóż miała z nim robić? Ani przez jedną chwilę nie czuła w sobie winy. Zostawił do niej śmieszny tragiczny list, który ją obraził. Nie poszła nawet na jego pogrzeb, zresztą nikt nie wiedział o nich ani o tych trzech dniach. To było jeszcze przed premierą „Dziewczęcia z Montrouge“, od której zaczyna się jej sława... Nikogo nie kochała dłużej nad dwa tygodnie, budziła się z szaleństwa i zapominała odrazu. Napisał. — Chciałem cię zastrzelić, ale ta kara będzie gorsza, do końca życia będzie cię prześladowało moje widmo. Nic podobnego! Co za manja wielkości w ubogim urzędniczku bankowym...

— Pani... Moja paniusiu!... Nie róbże pani takiego głupstwa!...

Ktoś ją ujął pod ramię twardą dłonią. Szarpnęła się, ale ten trzymał mocno. Był stary, siwobrody, nędznie odziany. Szczelnie zapięty w połataną kurteczkę kulił się z zimna, szyję miał okręconą grubym szalikiem, czerwonym jak i twarz starego, obrzękłą, znamionująca zapamiętałego miłośnika ordinaire'u po dwadzieścia pięć centimów litr. Oczy smutne i pocziwe patrzyły na nią z ojcowskim wyrzutem.

— Taka młoda i piękna... Taka bogata!... Co się stało? Mąż cię zdradził? Jeżeli tak, to jest oczywistym bałwanem i idjotą, więc zdradzaj go i ty!

— Ależ ja ani myślę się topić! Niechże mnie pan puści!

— Każda tak gada, a popuść no ją tylko — zaraz hyc do wody. Proszę uważać, że woda teraz bardzo zimna. A jak pani raz skoczy, to naprawdę będzie koniec. W takiej chwili się o tem zapomina — a to grunt. Ja to dobrze wiem.

— A pan się już kiedy topił?

— Ja?! Ani razu! Czyli, prawdę powiedziawszy, często wychodzę na most, żeby spróbować wody, ale... jak się powiedziało — jeszcze ani razu!...

— To i dzisiaj też pan przyszedł probować?

— Również i dzisiaj, szanowna pani. Mówię prawdę, albowiem zrównane są nasze losy. Jednakowa ta Sekwana dla bogactwa i dla nędzy. I dla tego, który się topi z nieszczęścia i dla tego, który to robi dla byle głupstwa. Niech no pani zaraz odejdzie od barjery!

Eva wydarła mu się i odepchnęła go, aż stary zatoczył się i byłby upadł, gdyby się nie złapał za balustradę.

— Oho... Oho... Mocnaś pani w ręku... Oho... Ale ja panią skądciś znam...

— Co panu jest? Ma pan jakie wielkie zmartwienie? Czy poprostu z biedy?

(D. c. n.).

JĄDRO CIEMNOŚCI

— Zdmuchnąłem świecę i wyszedłem z kajuty. Pielgrzymi siedzieli w jadalni przy obiedzie; zająłem zwykle swe miejsce naprzeciw dyrektora, który podniósł na mnie pytający wzrok; zignorowałem to najzupełniej. Wówczas rozparł się z niezamąconą pogodą w krzesło, z tym swoim szczególnym uśmiechem, pieczętującym bezdenną głębię jego pospolitości. Nieustanny deszcz drobnych muszek spływał na lampę, na obrus, na nasze ręce i twarze. Nagle boy dyrektora wetknął przez drzwi swą beczelną czarną twarz i rzekł tonem obelżywej pogardy:

— „Pan Kurtz — on umrzeć.”

— Wszyscy pielgrzymi wypadli aby zobaczyć. Zostałem i jadłem dalej. Sądzę że mnie uznano za brutalnie nieczułego. Nie jadłem jednak wiele. Tam wewnątrz paliła się lampa — wiecie, światło — a na dworze było tak strasznie, strasznie ciemno. Już nie zbliżyłem się więcej do wybitnego człowieka, który wydał był wyrok na przygody ziemskie swej duszy. Głos jego ucichł. Cóż tam było pozatem? Ale oczywiście wiedziałem, że pielgrzymi pochowali coś nazajutrz w błotnistej dziurze.

— A potem — bardzo niewiele brakowało by i mnie pochowano.

— Jednakże, jak widzicie, nie poszedłem wówczas za Kurtzem. Nie. Zostałem by prześnić ten koszmar do końca i by raz jeszcze wykazać swą lojalność w stosunku do Kurtza. Przeznaczenie. Moje przeznaczenie! Śmieszna to rzecz, życie — owe tajemnicze kombinacje bezlitosnej logiki dla błahego celu. Conajwyżej można się spodziewać od życia odrobiny wiedzy o samym sobie — która przychodzi zapóźno, i jest źródłem niewyczerpanych żalów. Zmagałem się tedy ze śmiercią. To najmniej zajmująca walka jaką sobie można wystawić. Człowiek prowadzi ją wśród nieuchwytnej szarzyzny, wśród pustki, bez gruntu pod nogami, bez widzów, bez wrzawy, bez chwały, bez wielkiego pragnienia zwycięstwa, bez wielkiej trwogi przed klęską, wśród chorobliwej atmosfery obojętnego sceptycyzmu, bez wielkiej wiary w słusność własnej sprawy, a z mniejszem jeszcze przekonaniem o słusności przeciwnika. Jeśli taką ma być najwyższa mądrość, to życie jest większą zagadką niż przypuszczają niektórzy. Byłem o włos od owej chwili kiedy człowiek może się wypowiedzieć po raz ostatni, i przekonałem się z upokorzeniem że prawdopodobnie nie będę miał nic do powiedzenia. Dlatego właśnie twierdzę, iż Kurtz był wybitnym człowiekiem. On miał coś do powiedzenia. On to powiedział. Odkąd sam poza krawędź wyjrzałem, rozumiem lepiej jego wzrok, który nie mógł dostrzec płomienia świecy, lecz dosyć był dalekosiężny by objąć cały wszechświat, dość przenikliwy by przejrzeć wszystkie serca bijące w ciemności. Kurtz zsumował — osądził. „Ohyda!” To był człowiek wybitny. Ten jego wyrok stanowił jednak pewnego rodzaju wyznanie wiary i miał w sobie szczerość, przekonanie, miał nutę buntu w swym szepcie, miał przerażające oblicze prawdy ujranej w przelocie — osobliwe połączenie żądzy i nienawiści. I pamiętam najlepiej nie swoją własną mękę — ową wizję bezkształtnej szarzyzny, przesiąkniętej fizycznym bólem i niedbałą pogardą dla znikomości wszel-

kich rzeczy — nawet dla tegoż samego bólu. Nie! Mnie się wydaje, że to jego śmiertelną mękę przeżyłem. Prawda że on zrobił ów krok ostatni, że krawędź przestąpił, podczas gdy mnie dozwolono cofnąć wahaającą się stopę. I może na tem polega cała różnica; może wszystka mądrość, i wszystka prawda, i wszystka szczerość skupiają się właśnie w owej nieuchwytnej chwili, kiedy przekraczamy próg niewidzialnego. Może! Wolę myśleć że nie byłbym zawarł swego sądu o życiu w słowie niedbałej pogardy. Lepszy jest okrzyk Kurtza — o wiele lepszy. Było to twierdzenie, moralne zwycięstwo okupione niezliczonymi klęskami, ohydą, przerażeniem, ohydą dosytem. Ale to było zwycięstwo! I właśnie dlatego pozostałem wierny Kurtzowi aż do samego końca, a nawet i poza koniec; aż do chwili gdy w długi czas później usłyszałem raz jeszcze głos — już nie jego własny, lecz echo jego wspaniałej wymowy, odbitej przez duszę przeczoczno czystą, jak skała z kryształu.

— Nie, nie pochowali mnie wówczas, choć jest pewien okres czasu, który widzę niby przez mgłę, wzdrygając się ze zdumieniem, jakbym wspominał przejście przez jakiś świat niepojęty, wyzuty z nadziei i pragnień. Znalazłem się znów w mieście grobów, podrażniony widokiem ludzi, spieszących ulicami aby zwędzić jeden drugiemu trochę pieniędzy, pożerać haniebnie przyrządzone posiłki, łykać niezdrowe piwo, śnić głupie i błahe sny. Narzucali się natrętnie moim myślom. Wiedza tych intruzów o życiu była dla mnie irytującym pozorem, ponieważ czułem z całą pewnością, że nie mogą wiedzieć tego co ja wiedziałem. Ich zachowanie, które było poprostu zachowaniem pospolitych indywiduów zaprzątniętych interesami i przekonanych o swem zupełnem bezpieczeństwie, drażniło mnie jako niesłychana chęć głupoty w obliczu groźnych okoliczności, których owa głupota nie jest w stanie zrozumieć. Nie miałem szczególnej chęci uświadamiać tych ludzi, ale wstrzymywałem się z pewną trudnością od parskania śmiechem w ich twarze, tak pełne tępego zarozumiałstwa. Może nie czułem się wówczas bardzo dobrze. Chodziłem po ulicach chwiejnym krokiem — musiałem pozalaćwać różne sprawy — wykrzywiając się gorzko wobec różnych wielce szanownych osób. Przyznaję że moje obejście było nie do darowania, ale też i temperaturę rzadko miewałem normalną w tych czasach. Wysiłki mej drogiej ciotki, usiłującej mnie podtrzymać na siłach, miały się zupełnie z celem. To nie moje siły potrzebowały pokrzepienia; należało ukoić moją wyobraźnię. Przechowywałem paczkę papierów powierzonych mi przez Kurtza, nie wiedząc właściwie co z nimi zrobić. Matka jego umarła niedawno, pielęgnowana, jak mi opowiadano, przez jego narzeczoną. Jakiś człowiek w złotych okularach, ogolony bardzo dokładnie i zachowujący się urzędowo, odwiedził mnie pewnego dnia i rozpytywał — z początku omawiając sprawę z daleka a potem nalegając ze słodyczą — o to, co mu się podobało nazwać „pewnymi dokumentami”. Nie zaskoczyło mnie to, ponieważ jeszcze w Afryce miałem na ten temat dwie kłótnie z dyrektorem. Odmówiłem wówczas wydania najmniejszego skrawka z tej paczki i utrzymałem się na tem samym stanowisku wobec człowieka w okularach. Przybrał w końcu ton zagadkowy i groźny, i jał bardzo gorąco dowodzić, że spółka ma

prawo do każdej bez wyjątku informacji o swoich „terytorjach”.

— „Wiedza Kurtza o tych niezbadanych jeszcze okolicach”, powiedział, „musiała być z konieczności rozległa i szczególnie dokładna dzięki jego wielkim zdolnościom i opłakanym warunkom w których się znalazł; dlatego też —”

— Zapewniłem go że wiedza Kurtza, aczkolwiek rozległa, nie dotyczyła zagadnień handlu lub administracji. Wówczas wezwał na pomoc naukę. „Byłoby stratą wprost niepowetowaną, gdyby” i t. d., i t. d. Wręczyłem mu raport o „Tępieniu dzikich obyczajów”, oddarłszy przedtem post scriptum. Wziął go skwapliwie, ale w końcu pokręcił nad nim pogardliwie nosem.

— „To nie jest to czego mieliśmy prawo oczekiwać”, zauważył:

— „Nie oczekujcie nic innego”, odrzekłem. „Reszta to tylko prywatne listy”.

— Wyszedł, zagroziwszy mi sądem, i już nie zobaczyłem go więcej; natomiast inny jakiś facet, mianujący się kuzynem Kurtza, ukazał się w dwa dni później i chciał koniecznie usłyszeć wszystkie szczegóły o ostatnich chwilach drogiego krewniaka. Mimochodem dał mi do zrozumienia że Kurtz był właściwie wielkim muzykiem.

— „Były w nim możliwości rokujące olbrzymie powodzenie”, rzekł ów człowiek, organista jak mi się zdaje: rzadkie, siwe jego włosy spływały na zatłuszczony kołnierz od ubrania. Nie miałem powodu wątpić o jego twierdzeniu; i do dziś dnia nie umiem powiedzieć jaki był zawód Kurtza, czy wogóle miał jakikolwiek — i który z jego talentów górował nad innymi. Wziąłem go z początku za malarza który pisywał do gazet, czy za dziennikarza umiającego malować — lecz nawet jego kuzyn (zażywający tabakę podczas rozmowy) nie umiał określić ściśle zawodu Kurtza. Był uniwersalnym geniuszem — zgodziłem się co do tego ze starym jegomościem, który wytarł nos hałaśliwie wielką bawełnianą chustką i wyszedł w starczem podnieceniu, unosząc kilka rodzinnych listów i jakieś mało ważne notatki.

Wreszcie pojawił się u mnie dziennikarz pragnący dowiedzieć się czegoś o losie „drogiego kolegi”. Poinformował mnie że właściwą dziedziną Kurtza powinna była się stać polityka „w zakresie popularnym”. Ów gość miał krzaczaste, proste brwi, monokl na szerokiej wstążce, ostrzyżony był krótko na jeża, i wyznał mi w przystępie szczerości że Kurtz w gruncie rzeczy wcale pisać nie umiał — „ale dalibóg! jak ten człowiek umiał mówić! Potrafił zelektryzować duże zgromadzenie. Była w nim wiara — rozumie pan? była w nim wiara. Potrafił wmówić w siebie wszystko — wszystko. Byłby został wspaniałym leaderem skrajnej partji.”

— „Ale jakiej?” — zapytałem.

— „Jakiejkolwiek”, odrzekł. „To był człowiek — człowiek — krańcowy. Czy pan tego nie uważa?” Przytaknąłem mu. „A czy pan wie”, zapytał z nagłym przebłyskiem zaciekawienia, „z jakiego właściwie powodu wybrał się do Afryki?” „Wiem”, odrzekłem i podałem mu natychmiast znamienity „Raport”, dodając że może go opublikować, jeśli to uzna za stosowne. Przejrzał go pośpiesznie, mruczając coś ciągle pod nosem, uznał że „to wystarczy” i wyniósł się wraz ze swoją zdobyczą.

— Tak oto w końcu zostałem z cienką paczką listów i fotografią dziewczyny. Wydała mi się piękną — a raczej wyraz jej twarzy uderzył mnie swoją pięk-

nością. Wiem że i blask słońca może stać się narzędziem kłamstwa, ale czuło się iż żadna gra światła, żadna poza nie mogłaby nadać tym rysom tak subtelного odcienia szczerości. Zdawało się że gotowa jest słuchać bez żadnego zastrzeżenia, bez podejrzeń, bez cienia myśli o sobie. Wreszcie postanowiłem pójść do niej aby jej oddać fotografię i te listy. Ciekawość? Tak; a może jeszcze i jakieś inne uczucie. Wszystko co należało do Kurtza przeszło przez moje ręce: jego dusza, jego ciało, jego stacja, jego plany, jego kość słoniowa, jego karjera. Pozostała już tylko pamięć o nim i jego narzeczona — a pragnąłem niejako przekazać to również przeszłości — wydać wszystko co po nim zostało na pastwę zapomnienia, które jest ostatniem słowem naszego wspólnego losu. Nie bronie się. Nie miałem jasnego pojęcia o co mi chodzi właściwie. Może powodowała mną nieświadoma lojalność, a może było to wypełnienie owej ironicznej konieczności, która się czai w zdarzeniach ludzkiego życia. Nie wiem. Nie zdaję sobie sprawy. Ale poszedłem.

— Myślałem że wspomnienie o Kurtzu podobne jest do wspomnień o innych zmarłych, które gromadzą się w życiu każdego człowieka — jako niejasne odbicie na mózgu cieniów co padły nań przelotnie a nieodwołalnie; lecz u wielkich, ciężkich podwoi, wśród wysokich domów ulicy równie cichej i porządnej jak dobrze utrzymana aleja cmentarna, ujrzałem wizję człowieka na noszach, otwierającego usta żarłocznie, jakby chciał pożreć całą ziemię wraz z całą ludzkością. Ożył w mych oczach; ożył jaknajrealniej — ów cień niesyty wspaniałych pozorów i straszliwej rzeczywistości; cień mroczniejszy od cieniów nocy, udrapowany okazale w zwoje pysznej wymowy. Zdawało mi się że wizja wchodzi do domu wraz ze mną: nosze, ludzie dźwigający marę, dziki tłum karnych czcicieli, mrok lasów, połysk rzeki wśród posępnych zakrętów, łoskot bębna, miarowy i głuchy jak bicie serca — serca zwycięskiej ciemności. Była to chwila tryumfu dzicy, gwałtowne jej, mściwe najście, które — tak mi się zdawało — musiałem sam odeprzeć dla zbawienia czyjejś duszy. A wspomnienie o tem co Kurtz mówił mi tam daleko — gdy rogate postacie poruszały się w blasku ognisk za memi plecami, pośród cierpliwych lasów — wspomnienie owych urywanych zdań wróciło do mnie; usłyszałem znów słowa Kurtza w ich złowrogiej, przerażającej prostocie. Uprzytomniłem sobie znów nędzne jego prośby, nędzne pogrożki, olbrzymi zakres jego nikczemnych pragnień, podłość, mękę, burzliwe cierpienia jego duszy. I wydało mi się że słyszę znów słowa, które wypowiedział kiedyś spokojnie i apatycznie:

— „Ten transport kości słoniowej należy w gruncie rzeczy do mnie. Towarzystwo za niego nie zapłaciło. Zebrałem go sam, wśród bardzo wielkich niebezpieczeństw. Obawiam się jednak że będą go się domagali jako swojej własności. Hm. To jest trudna sprawa. Jak pan myśli, co mam robić, upierać się przy swoim? Co? Ja chcę tylko sprawiedliwości...”

Chciał tylko sprawiedliwości — nic więcej; tylko sprawiedliwości. Zadzwoiłem u mahoniowych drzwi na pierwszym piętrze i czekałem, a on zdawał się patrzeć we mnie z błyszczącej mahoniowej tafli — patrzeć tym dalekosiężnym i wszechogarniającym wzrokiem, który obejmował, nienawidził, potępiał cały świat. Wydało mi się że słyszę jak wykrzykuje szep-tem:

— „Ohyda! Ohyda!”

(D. c. n.).